

Dwóchsetlecie „Sokolego Oka”

Bohater Coopera był historyczną postacią

Nie ma chyba mężczyzny, któryby nie pamiętał „Sokolego Oka” i tych czasów własnej młodości, kiedy to wprost pożerał z kart książki dzieje Cooperowskiego bohatera, razem z nim walczył o czerwonoskórymi, unikając śmiertelnych ciosów tomahawką, na ścieżkach leśnych odczytując ślady wrogów i zwycięsko wdzierając się do zdobytego wigwamu, obwieszono go skalpami Błędnych Twarzy...

Bylibyśmy się wówczas dali porwać za to, że ci zdobywcy Nowego Świata, stanowiący zachwyt naszych snów i przedmiot najmilszych zabaw, byli ludźmi rzeczywistymi — niemal naszymi bliskimi przyjaciółmi. Potem, dorósłszy, zaczęliśmy sceptycznie zapatrywać się na wszelkie literackie „bujdy”. Teraz zaś dowiadujemy się ze zdumieniem, że bohater Coopera nie był wcale wytworem fantazji: w tym bowiem roku miasto Francfort w stanie Kentucky organizuje uroczysty obchód 200-nej rocznicy jego urodzin.

WYPRAWA BOONE'A

Nazywał się Daniel Boone. W roku 1760, kiedy cała kraina na północy-zachodzie od gór Alleghańskich stanowiła nieprzebraną dziczyzną puszczy, pełną zwierząt, na prerach pasły się niezliczone stada bawołów, a jedynymi panami kraju były plemiona indyjskie, w wiecznie pozostające między sobą wojnie, ze stoków Alleghańskich zjeżdżała konno grupa sześciu młodych mężczyzn i dwóch kobiet, ostrożnie ale odważnie zapuszczających się w świat, którego dotąd jeszcze nie tknęła stopa białego człowieka.

Poza strzelbami nie mieli z sobą żadnego innego bagażu: tak rozkazał ich wódz, Daniel Boone, a przed każdym jego rozkazem — choć miał dopiero lat 24 — czuli niezmierny respekt. Wychowany w puszczy i już głośny w stanach wschodnich jako myśliwy, strzelec i nieustraszonego odkrywcę nowych terenów, Boone nie ustępował najwytrawniejszym Indianom ani w umiejętności czytania śladów, ani w zuchwałości odwadze czy ostrożnej chytrłości, w zupełności zasługując sobie na przydomek „Sokolego Oka”, który mu nadali.

15 LAT WALKI

Dzięki temu umiejętnemu przewodnictwu ryzykowna wyprawa potrafiła, unikając spotkania z Indianami, dotrzeć daleko w głąb nowego kraju, gdzie rozpoczęła prawdziwe złote żniwo polowań.

Ale huk strzelb dał o niej znać krajowcom, którzy poczęli trop w trop iść za białymi. Całymi tygodniami trzeba było staczać raz po raz zacięte walki, zanim nie udało się przybyłym zbudować swojej pierwszej osady — od imienia wodza zwanej Boonesborough. Składała się z pięciu obronnych „blokhauzów” i była celem nieustannych ataków ze strony Indian, którzy po to tylko zaprzestawali jednej wojny z białymi, aby z tem większą zaciętością rozpoczynać drugą.

Tak trwały pełnych piętnaście lat. Ale ostatecznie odwaga białych i ich rycerskość w stosunku do przeciwników, a przede wszystkim ich niepożyta energia i zaciętość, potrafiły zaimponować czerwonoskórym. Drobną garstką śmiałości wywalczyła sobie nareszcie uznanie i pokój. Jedno plemię za drugim wypalało z nimi fajkę pokoju. Można było pomyśleć o sprowadzeniu dalszych kolonistów i zaludnieniu Boonesborough. Powstały również inne osady.

ZDRADA BIAŁYCH LUDZI

Ale wraz z obfitszym napływem białych ludzi pojawiła się także ich przewrotność i zdradliwość. Zawistnie patrząc na uprzywilejowanych w ich pojęciu pierwszych odkrywców kraju, nowi koloniści podmówili Indian do napadu na Boonesborough — aby po jego upadku móc samym zająć to miejsce. Wychuchała nowa wojna i osada Boone'a musiała walczyć z dziesięciokrotnie przeważającymi siłami wrogów. Była by też może, mimo dzielności obrońców, musiała w końcu ulec, gdyby nie nieoceniony jej wódz. Boone nakazał swym towarzyszom wygrzebać podziemny chodnik, przez który uczyniono wyścieczkę, wpadając znikąd na tyły Indian. To rozstrzygnęło sprawę: napastnicy poszli w rozpiskę i zaniechali dalszego oblężenia.

Ale niedługo trwało spokojne życie w Boonesborough. Gorszyli od czerwonoskórych okazali się biali. W roku 1792 Boone i wszyscy jego towarzysze zostali wyekscytowani. Szajka cynicznych spekulantów, nie mających żadnych skrupułów w dążeniu do fortuny, potrafiła przy pomocy fałszywych dokumentów i przekupionych świadków uzyskać wyrok sądowy, przyznający jej prawo własności ziemi — jakoby kupionej od pierwotnych kolonistów. Liczący już 56 lat Boone musiał wraz z towarzyszami o-

puszczać ziemię, której nie tylko był najprawowitszym właścicielem, ale odkrywcą i zdobywcą — i szukać nowego szczęścia.

NA STAROŚĆ

Udał się zatem do stanu Missouri, gdzie zarabiał na życie jako traper zrazony do swych białych współplemieńców, którzy mu nie dali zażywać zasłużonej spokojnej starości w osiadłym życiu. Nieziszczalne jednak były siły w tym człowieku, skoro jeszcze blisko przez trzy dziesiątki lat znosił trudy koczowniczego życia. Umarł dopiero w roku 1820, mając 84 lata.

Po śmierci dopiero — jak to zwykle bywa — przyznanie i przyszła sława. Założone na miejscu dawnego Boonesborough miasto Francfort sprowadziło jego kości i pochowało je we

wspaniałym grobowcu. Teraz zaś przygotowuje się święcić 200-ą rocznicę urodzin swego założyciela. Amerykanie, mający tak niewiele za sobą tradycji, tem skwapliwiej obecnie ją kultuwają.

Ale najpiękniejszy pomnik wystawił Boone'owi Fenimore Cooper, który jego życie uczynił tematem swych powieści. Dzięki Cooperowi Boone stał się czemś więcej aniżeli bohaterem jednego miasteczka czy nawet całego stanu: stał się ideałem młodzieży, jako uosobienie odwagi, szlachetności, energii. Całe się na nim wychowywały w różnych narodach pokolenia i dalej będą wychowywały. „Sokole oko” bowiem przeszedł do najnieśmiertelniejszej ze wszystkich krain: krainy legendy i baśni.

Stara i nowa Japonia są równie obce Zachodowi

Tokjo, miasto którego ludność wzrasta o 500 osób dziennie, wykazuje również rekordowy przyrost budynków mieszkalnych. Codzień powstaje tu jakaś nowa kamienica. Te, jak grzyby po deszczu, wyrósł, budynki nowoczesne zaczynają gruntownie zmieniać wygląd zewnętrzny stolicy, która traci coraz bardziej swój japoński charakter.

MODERNIZM I TRADYCJA

A jednak ciężkie, wielopiętrowe, wybudowane ze stali i cementu budynki tokijskie, zwane „apachto”, nie są tylko wiernymi kopiami swych prototypów na zachodzie. We wnętrzu każdego mieszkania odnajdziemy odbicie dawnego melanzu modernizmu i dziecinnych tradycji, jaki charakteryzuje tak dobitnie życie współczesnej Japonii.

Na łniących posadzkach mieszkani w wielkim amerykańskim „buildingu” rozłożone są drobno plecione maty. Pokoje przedzielają drzwi z cienkiego papieru, słynne japońskie „shoji”. A zamiast centralnego ogrzewania używane są nadal piecyki z węglem drzewnym „hibachi”, niepraktyczne w wilgotnym klimacie, bo dające bardzo mało ciepła.

Ponadto istnieje jeszcze jedna cecha wspólna: w każdym mieszkaniu japońskim muszą być rośliny, często rzadkie i trudne do

hodowania, a z najwyższych pięter miejskiej kamienicy wychylają się na gwarne ulice śródmieścia maleńkie karzełkowate jabłonia i wiśnie.

Ten fenomen koegzystencji elementów miejscowych i obcych, zapożyczony najprzód od Chin a potem z dalekiego zachodu, obserwować można we wszystkich dziedzinach życia.

Przedewszystkiem w życiu codziennym; do dawnego menu opartego na ryżu, grochu i marynowanych jarzynach, wkroczyła kawa i sucharki. Europejskie zaś ubrania zamienia każdy urzędnik po powrocie z pracy na barwne kimono i sandały.

Ale fenomen ten sięga i głębiej. Japonia, spóźniona w przemianie form społecznych, politycznych i ekonomicznych, uosiłowała w ciągu ostatnich 50-ciu lat gwałtownie dogonić cywilizację europejską. W dziedzinie utylinarnej wzięta z niej dosłownie wszystko, nie wpłynęło to jednak na zmianę japońskiej mentalności.

Mimo, iż Japończycy zastosowali w życiu praktycznym wszystko, co cudzoziemiec wynalazł w technice życia współczesnego, mimo, iż głęboko zmieniły swe obojętne — ich odrębność pozostała tak samo wyraźna, jak była i dawniej.

Jerozolima pod groźbą zburzenia miasta po raz 37-my

Londyński „The Universe” zamieścił niedawno ciekawą odezwę mieszkańców Jerozolimy, zastrzegającą na dalsze rozpowszechnienie w prasie. Okazuje się mianowicie, że święte miasto Jerozolima, które przez ciąg wieków przechodziło niejednokrotnie ciężkie koleje i było wiele razy burzone, obecnie jest ponownie zagrożone, tym razem jednak przez „wrogów wewnętrznych” mianowicie spekulantów skupujących place i stare budynki.

Już całe dzielnice starej Jerozolimy znajdują się w rękach tych spekulantów budowlanych, którzy burzą stare budowle, a na ich miejsce stawiają w najrozmaitszych stylach a najczęściej bez żadnego stylu konstruowane gmachy, jak domy handlowe, hotele, przypominające niejednokrotnie koszarzy obliczone w taniej pośpiesznej budowie wyłącznie na zarobek.

Widząc tego rodzaju barbarzyństwa, grożące zniszczeniem drogocennych zabytków świętego miasta, grono wybitnych mieszkańców Jerozolimy zwraca się z odezwą do komisarza brytyjskiego, prosząc go o podjęcie opieki

nad temi zabytkami przeszłości. W odezwie m. in. powiedziano: „Historja wykazuje, że Jerozolima była 36 razy burzona; zachodzi obawa, że to zburzenie może się powtórzyć po raz 37-my. Dawniej hordy obcych najeźdźców niszczyły mury świętego miasta, obecnie czynią to jego mieszkańcy; ogarnięci gorączką spekulacji, niszczą piękno starych bezcennych pod względem architektury zabytków i na ich miejsce stawiają w beładnym konglomeracie grupy budynków pozbawionych wszelkiego stylu. Stąd zachodzi obawa, że Jerozolima, jeżeli taki system potrwa dłużej, zamieni się w lawinę kamieni poкладanych na modłę nowoczesną, a ze starego okrytego chwałą tradycji miasta nic nie pozostanie... Jeruzalem, święte miasto jeszcze raz stoi wobec grozy zniszczenia!”...

Tak mówi odezwa, ale należy dodać, że tym razem niebezpieczeństwo pochodzi nie od obcych, lecz od samych żydów, bo oni głównie stanowią tę grupę barbarzyńskich spekulantów, którzy, ponad uczucia religijne i poczucie piękna stawiają przedewszystkiem pieniądze.

Arystokratyczna para filmowa Lord i lady Warwick

Sensacją Hollywoodu, a jeszcze bardziej Londynu, jest zaangażowanie do występów filmowych jednego z najwybitniejszych przedstawicieli arystokracji angielskiej, lorda Warwick i jego żony. Najpikantniejszą zaś stroną tej sensacji jest to, że oboje małżonkowie uzyskali angażement filmowy niezależnie od siebie i pracować będą w dwóch konkurencyjnych wytwórniach.

Lord Warwick interesował się filmem już oddawna, był stałym gościem londyńskich wytwórni i był uznany jako doskonały znawca fotogeniczności. Brał też udział w kilku próbnych zdjęciach. Mimo to nie miałą niespodzianką był telegram z Hollywoodu od Warner Brothers. Firth National Co., proponujący lordowi trzyletni kontrakt. Podpisał go bez wahania.

Ale i lady Warwick postarała się na własną rękę i niezależnie od męża uzyskać to samo. W roku ubiegłym, odbywając podróż dokoła świata, bawiła ona dłuższy czas w Hollywood jako gość Adrijanny Ames, a zainteresowała się pracą filmową i na-

brawszy do niej gustu, zdołała po wielu prośbach wymóc na przyjaciółce, że się zgodziła na odegranie przez nią jakiegoś podrzędnego „ogona” w wielkim filmie, w którym Adrijanna odtwarzała tytułową rolę.

Zdjęcie wypadło nad wyraz korzystnie — dystygowana i piękna lady okazała się nader fotogeniczna, a jej uroda wypadła w filmie jeszcze bardziej fascynująco. Znajomość z Douglassem Fairbanksem dokonała reszty — i obecnie lady otrzymała angażement jako partnerka Doug'a w wielkim filmie awanturczym, rozgrywającym się między Europą a Ameryką i stanowi jakby odbicie jej rzeczywistego życia, który teraz właśnie zaczęto nakręcać.

HUMOR

DOBRY SYN

— Spotkałem wczoraj ojca pańskiego. Wspaniale się trzyma, do brze mu z tą siwą czupryną.
— Tak, te siwe włosy ma mnie do zawdzięczenia...

MARJAN MALKOWSKI

9)

TAJEMNICA ZA KAŻDEMI DRZWIAMI

Powieść

— Otóż — ciągnął dalej Pietraszek — chciałbym wiedzieć, czy w tym czasie nie było nikogo w poczekalni?

— Nikogo. Powiedziałem już panu — Wyszębor mówił spokojnie bez śladu zniecierpliwienia. — Mój drugi klient przyszedł dopiero około wpół do siódmej, słyszałem wyraźnie dzwonek. Zresztą może pan zapytać o to tego dependenta. On jest zawsze w pierwszym pokoju, gdy ja przyjmuję. Maszynistka była wczoraj nieobecna, jak również aplikant praktykujący w mojej kancelarii, od kilku dni na urlopie...

— I jest pan pewny, że dependent pański był tu wczoraj przez cały ten czas?...

— Tak sądzę. Był, gdy przyjmowałem i żegnałem moją klientkę, potem nie wychodziłem z gabinetu. Dependent mój jest to już niemłody, wypróbowanej uczciwości pracownik, którego znam od szeregu lat...

Komisarz Pietraszek wciąż pocierał w zakłopotaniu podbródek twardym grzbietem czarnego notesa.

Felicja Westen siedziała przy stole z twarzą na rękach wspartą. W ciszy mieszkania cykotały zegary, szarość występowała z wolna z kątów pokoju, zacierając rysunek wzorzystej pięknej tapety. Czula na ramionach denerwujący ciężar ciszy i samotności.

Wstała i jęła przechadzać się po jadalni, urządzonej gustownie i wygodnie: stół mały, okrągły, niski, modny kredens, oszklona serwantka z piękną porcelaną, aparat radiowy na osobnym stoliku; pod oknem głęboki fotel, niski stolik z książką i robotą, wazon, kwiaty... Felicja krążyła po pokoju, odpychana chłodną obojętnością mebli. Zabłądziła do salonu, przed szklistą tafelą lustro i odwróciła się z obrzydzeniem od własnego odbicia. Nienawidziła swojej twarzy, ust, oczu... rąk swoich... nienawidziła całej siebie. Czula się znudzona sobą i tą bezustanną pamięcią. Czy podobna... czy podobna, aby coś, co przychodzi z zewnątrz, jest wynikiem układu zewnętrznych tylko czynników, mogło tak mocno przywrzeć do ciała i duszy?... Z zewnątrz?... Czy ludzkie czyny są wynikiem tylko zewnętrznych okoliczności?... Czyż to raczej nie wewnątrz nas dzieje się to, co dokonujemy na zewnątrz? Czyż to nie w nas samych nosimy całe nasze życie, ze wszystkim złem, które popełniliśmy... a wtedy jakże się uwolnić?

Z za okna, z północy głębokiego podwórza, gdzieś od zlotawej plamy osypanego liśćmi ogródka, popłynął żalostny niestrojny jęk skrzypiec... Wzdrygnęła się... W dole, o żelazną balustradę wsparty stał nędzny grzejek uliczny ze smyczkiem w wychudłej dłoni, z oczami wzniesionymi ku oknom. Przez szyby sączyła się melodia bolesnego wspomnienia. Felicja osunęła się na dywan, lzy spływały jej po twarzy, ogromne, rzęsiste lzy niemiłego płaczu.

Konrad Bolewa wyszedł tego dnia zaraz po obiedzie. Jak zwykle zamknął starannie wszystkie szuflady biurka, zajrzał do kosza na śmieci, przejrzał w lustrze swoją szeroką płaską twarz, rzadkie blond włosy na spłaszczonej nieco czasce i szerokie bary atlety i wyszedł, zamykając starannie drzwi gabinetu. Służący podał mu płaszcz, kapelusz i rękawiczki, jasne ze świnińskiej skóry rękawice na jego ręce poźębne, szerokie o grubych krótkich palcach, poczem zamknął starannie drzwi za odchodzącym panem. Poczekawszy chwilę wyjrzał oknem a upewniwszy się, że Bolewa opuścił już

podwórze, powrócił gwiżdżąc pod drzwi jego gabinetu i misternym instrumentem otworzywszy zamek, zasiadł na fotelu swego chlebobawcy, zapalił jego cygaro i oparłszy nogi na biurku zamyślił się nad przewyciężeniem przeszłości w postaci zamków biurka, którym jego subtelny instrument nie mógł dotąd dać rady. Służący nazywał się Onufry, był mały, szczupły, blade, długogłowy i lysy a w sercu krył głęboką, namietną do nienawiści podobną ciekawość do wszystkiego, co było zamknięte.

Konrad Bolewa szedł śpiesząc się ulicami miasta; kołnierz palta postawił, choć nie było wcale zimno i kapelusz mocno nasunął na oczy. Przez puste prawie, boczne ulice i uliczki szedł pewnym, zdecydowanym krokiem, jak człowiek świadomy drogi. Zatrzymał się przed małą cukierenką w jakimś pustym i cichym, pozbawionym prawie sklepów zauku. Zajrzał przez szybę do wnętrza potem objawiając się za siebie, w lewo i w prawo, pełną drzwi i wszedł do sali niskiej, długiej, prawie mrocznej, zastawionej marmurowymi blatami stolików.

Znudzony, wyłuskał kelner ukłonił mu się niedbale i niechętnym spojrzem obrzucił gościa, przerywającemu mu spokojną kontemplację ogromnej muchy, spacerującej po zakurzonej szybie okiennej. Ociągając się, podążył za gościem w najodleglejszy kąt sali i otarłszy zakurzony blat stolika przyniósł Bolewie żądaną herbatę, cytrynę i cukier poczem wrócił na poprzednie swe stanowisko pod wieszadłem na wprost okna.

Bolewa pił herbatę i raz wraz spoglądał ku drzwiom. Z głębi cukierni oddzielonej od sali oszklonym kontuarem dobiegały ściszone stuk i brzęk, czasem dźwięk głosu ludzkiego. Zakurzona sala zdawała się drześć. Ciemniało. Na ulicy zapaliły się latarnie. Bolewa spojrzął na zegarek, umieszczony na przegubie grubej włochatej ręki; spojrzął raz i drugi. Niecierpliwił się; grube brwi zbiegły mu się nad nosem i niske czoło pofalowało się od zmarszczek.

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12-13.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefon: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgozbiór i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56. Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.
PRZEDSIĄWZIELSTWA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59. Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.
PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł, opisy specjalne — 3 zł, lekarstwo — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczą się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.
Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.